ILUSTRACJA POLSKA

„PLACÓWKA"

dawniej „WIEŚ i DWÓR"

DWUTYGODNIK

RYS. E. TROJ

ZESZYT IV. LUTY 1920 ROK.

Cena zeszytu Mk. 8.—

Treść zeszytu IV-go:

Dodatek aktualny:

Ilustracje w tekście.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1920 ROKU. ZESZYT IV.

ILUSTRACJA POLSKA

„PLACÓWKA"

(dawniej „WIEŚ i DWÓR") — DWUTYGODNIK



Juljusz Kossak. „Lisowczyk".

Z salonu Richlinga. — Fot. A. Masłowski.



St. Bagieński. „Beliniacy“.

Z salonu Richlinga. — Fot. A. Masłowski.

Józef Jankowski.

POWAGA CHWILI OBECNEJ.

Nie wielu jest ludzi, jedzących i pijących, jak zawsze, i to za najważniejszą sprawę dla siebie poczytujących, którzyby zdawali sobie istotną sprawę z powagi dzisiejszej chwili dziejowej i ze związanem z nią położeniem sił naszych wojennych na Wschodzie. A jednak jest to chwila, najwyroczniejsza może ze wszystkich, jakie kiedy w dziejach istniały. Jest to chwila krytyczna, ostateczna może, zmagania się, nie — jak dotąd myślano, spraw materjalnych, czy narodowościowych, spraw zewnętrznych, — lecz spraw, bardziej zasadniczych,—zmagania się i porachunku dwóch światów, dwóch potęg bytowych: zła i dobra, materji i ducha, ciemności i światła, pogaństwa i Chrześcijaństwa tej ziemi. Z naładowanych przez całe dzieje dwóch chmur tych potęg niezmiernych, nastąpiło dziś starcie ostateczne*). Jutro ma już zadecydować: czy świat się ma rządzić przez ducha, czy przez materje, t. j., czy ma nim rządzić myśl rozumna człowieka, i wiara, i natchnienie, i dobra wola człowieka, czy też ma nim miotać ślepy instynkt, uwięzły w materji, i dusza zwierzęca, i zła wola człowieka! Światło, które ma rozpraszać ciemność, czy ciemność, która ma tak tu się rozmódz, że Opatrzności, która to światło dała ludzkości na przewody, wypadnie ją zgładzić zupełnie, jako złowolną, by nową powołać na świadectwo tego, co zgasnąć nie może. Bóg, czy szatan ziemi? Chrystus i Jego idea, i torowanie Królestwa Bożego na ziemi, czy Antychryst i jego torowanie zagłady doczesnej ludzkości? W razie zwycięstwa w tym wypadku światła, ludzkość tej ziemi wpłynie na tory, prawdziwie nowe i świetne, jakich dotychczas nie znano; w razie fatalnym przewagi ciemności, ludzkość istnieć nie będzie mogła, jak nie może istnieć przez się automobil, z którego szofer wypadł i został zabity. Ślepa siła motoru może czas jakiś krótki unosić po wykrotach samochód, katastrofa jednak, lub choćby wreszcie tylko samounicestwienie się ruchu, czyli śmierć narządu są, nieuniknione.

Oto w jakiem położeniu, w jakiem posłannictwie dziejowem i opatrznościowem znajduje się dziś Polska i jej wojsko na Wschodzie, stojące przeciw nawale ciemności i ślepej siły zwierzęcej. Motorem tego wielkiego samochodu ziemi, samochodu wyrocznego, któremu złożono dziś losy Europy, jest właśnie nasze tężne i prężne wojsko; szoferem na tym samochodzie są jego wodzowie; jadącym na tym samochodzie w przyszłość świata i światła—jest polska, jesteśmy my wszyscy, naród.

Niech tedy ogół polski wrazi sobie dobrze ten obraz do duszy, i niech pomyśli, co się z nim stanie, z nim, tak bezpiecznie zazwyczaj jadącym, jeżeli na samochodzie tym siła kierująca, duch posłanniczy narodu, zestrzelony tym razem materjalnie w s z o f e r z e, owym istotnie g r z a c z u siły motorycznej, w wodzach wojska naszego, zostanie z samochodu strącony. Jeżeli zaś nawet nie zostanie strącony, jeżeli u steru trwać będzie, co zrobi, jak zaradzi, jeżeli siły motorycznej, jeżeli benzyny zabraknie, jeżeli sam osłabnie? Jak pojedzie, jak się nawale ciemności przeciwstawi? I co z nim będzie, z tym jadącym na samochodzie pasażerem, z tym narodem, gdy nawała szatańska owładnie warkocącym już niezdatnie wozem? Nie daj tego, Boże!

Otóż, w świecie ducha jest lepiej, i zasobniej, i ufniej, niż w świecie materji, bowiem w nim jest niewyczerpalność, i zaród, i przyczyna siły materjalnej. W świecie ducha, benzyny, owej siły motorycznej lotnej, nigdy nie zbraknie, i rezerwuar jej niewyczerpalny, dopóki człowiek c h c e siłę tę dawać, bowiem sama chęć jest tej siły zasadą i motorem wiecznym. I siła ta dopiero porusza materją i daje jej moc sprawującą; bez niej, siła materjalna jest niczem, — iście, jak motor samochodu bez swego zbiornika benzyny. Siła ta życiowa istotnie nalewa z niczego, — jedynie z dobrej woli i z ducha niecącej się prawości, — i sięga w cud i w nieskończoność możności w stosunku do podwładnej sobie materji.

Tak więc, w położeniu obecnem na Wschodzie, żołnierz nasz, acz głodny często i obdarty, acz kilkokrotnie niższy liczbą od idącej tam nawały, jest siłą, jest motorem, dotychczas przeważającym, właśnie tą mocą ducha, tym lotnym

*) Autor żałuje, że w krótkim artykule przygodnym nie może tego dowieść, jako pewnika, historjozoficznie,

zasobem energji prężnej i sprawnej, — ideą łączną świata i światła. Ale żeby energja ta trwała, by jej nie zabrakło, musi być ciągły napływ do motoru ze zbiorników tego wielkiego samochodu, którym jest dzisiaj Polska; gdyby w przewodach zabrakło benzyny, gdyby duch kierowników przez to osłabł, samochodowi grozi napaść straszna, porażka i rozbicie przez wroga, i wjazd jego szatańskiej ciemności. Nie daj tego, Boże!

Jakież są środki niezawodne zapewnienia tej siły, zabezpieczenia tego zbiornika od braku, zabezpieczenia ilości i jakości tego zasobu niezbędnego, w tej walce dzisiaj o życie i światło całej ludzkości, ku czemu Polska, wskrzeszona tak cudownie i pod tak wyraźnym znakiem Opatrzności, jest dziś powołana? Środkami temi jest cała fabryka ducha zbiorowego, z której ma płynąć ku zbiornikom owa substancja niezbędna mocy żywotwórczej.

„Mało rzucić na szalę jedynie wagę oręża,

„Cała Rzeczpospolita niech dzisiaj ramię natęża”, jak mówi o kilka stron dalej w tem piśmie poeta w swym rapsodzie *).

W tym wyrazie n a t ę ż a zawarta cała istota zabiegów ducha w tej chwili dzisiaj krytycznej. Natężenie to ma się stosować, jak rzekliśmy, do ilości i jakości owej substancji zbawiennej. Czemże się warunkuje jakość substancji w tej fabryce ducha narodowego? Czystością, prawością intencji i czynów obywateli, miłością i poświęceniem ich dla Ojczyzny, sumiennością, uczciwością ogólną, — czujnością — rzekłbym religijną—w tej chwili ważących się losów świata. Ani wyobrażamy sobie, że każdy podły czyn, tu, zdala od frontu, każda myśl niecna i namiętność brudna, jest owym mętem i fusem tej substancji, która tam ma zasilać zbiorniki, i że zgromadzenie tych fusów może stanowić o zatrzymaniu się motoru i o katastrofie. I nikt nie może przewidzieć, w chwili zdrożności swej sytej, czy właśnie ta chwila nie będzie tam wyroczną, czy włókienko drobne nierządu, do innych przyczynione, nie będzie tam tem ostatecznem przebraniem mętu, które zator przypływu zgotuje! A jednak jest to taką samą prawdą, i takiem samem prawem, w świecie ducha, jak jest niem w fizyce prawo zależności cząsteczek, prawo rzutu i odbicia. Jest ono nawet jedynem tylko prawem ducha, które się materji bezwładnej udziela i siebie w niej widzi!

Ilość, następnie, substancji warunkuje się specjalnym w tym przypadku wysiłkiem, czujnością i dbałością wyjątkową, pieczą wzmożoną, pracą wytężoną, by tchnień tych czystych wyprodukować i przesłać jaknajwięcej — by ich tam, broń Boże, nie zbrakło! Ilość zresztą tej lotnej substancji warunkuje się przez się jakością, gdyż duch czysty sam wznieca się i pomnaża.

Ty więc, panie paskarzu polski, jeżeli numer ten wpadnie do rąk twoich, i oczy twe zatyłe spoczną na tych wierszach (o czem wątpię rzetelnie), zastanów się raz przecie: czy, nie kochając zgoła Ojczyzny, która cię wydała, i nic dla niej nie robiąc dobrego, — czy robisz przynajmniej dobrze i logicznie we własnym swym interesie, łupiąc i obdzierając ze skóry swego bliźniego, — i czy nie lepiej by było, oczyszczając nieco siebie, oddać dziś, w tym kryzysie, trzecią część zrabowanego mienia, na dobro obrońców twoich, niż oddać wszystko, gdy wróg tu przyjdzie i ciebie, jak coś pastewnego, w dodatku potraktuje! Ty bowiem łajdackiem swem postępowaniem wroga tego pomnażasz i ściągasz go tu z każdą chwilą!

Ty, strojnisio bezmyślna, tak niefrasobliwie dzisiaj zbytkująca, wdziej na te czasy suknię zgrzebną, wymień choć część swych strojów na koszule dla twoich obrońców, i woniami nierządu nie zarażaj surowej atmosfery chwili, — byś nie musiała potem być odartą ze wszystkiego i wychłostaną przez zło, które płodzisz!

Wy wszyscy, którzy nic nie macie materjalnie do stracenia, i którzy przeto najwięcej dać możecie, — lecz którzy tak zdradziecko, tak zbrodniczo judzeni jesteście do zła i nienawiści przez fałszywych proroków tej chwili, — pomnijcie, że tylko uczucia miłości, jedności i zgody, ofiary i poświęcenia z własnych żądz i pasyj, są tą siłą tężną, która, tam przelewając się, ramię żołnierza ustali, — i że każdy męt tutaj, każdy zły czyn i nienawiść, każdy zgrzyt pasji szatańskiej, jest tem, co tu wroga o krok jeden przybliża, — jest on bowiem tym samym strzępem krwawej ciemności, która tu idzie nawałą, którą zwalczyć trzeba, a która się tym strzępem przez przestrzeń zasila.

Do was wreszcie, kobiety polskie, wy jeszcze rodzimie czujące, wy, wiarę w ducha jeszcze zachowujące, wy, strażniczki jego, apel tu naj-

*) Eugenjusz Korwin-Małaczewski: „Dziewiąta fala Chrobrego“.

gorętszy — o czyn specjalny, o czyn najważniejszy w tej chwili, — czyn przewodnictwa i przesyłania siecią dopływów tego prądu zbawiennego wszechistnej substancji! Weźcie żołnierza na froncie pod swoją opiekę specjalną, utwórzcie armję tu wtórą rzetelnych chrzestnych matek, lub lepiej sióstr ducha! Przesyłajcie mu, z małym chociażby datkiem materjalnym, wielki bezcenny datek miłości czującej, miłości bliźniej, siostrzanej! Słowo ciepłe prawdziwego waszego uczucia, które on tam przeczyta, lub które mu tam przeczytają, będzie tą kroplą esencji drogocennej, która czyn zapalny zgotuje! Ale posyłajcie mu nie słowa zdawkowe, lecz istotną kroplę uczucia, na którą on tak zasługuje! Wszak jest on istotnie rycerzem i bratem każdej z was, tam, w chłodzie i głodzie, piersią własną, osobiście zasłaniającym każdą z was! A czyż jest większy dowód miłości, jak łożyć duszę za swoich? Bądźcie tedy sercem płonącem tego organizmu, które tam ramię natęża!

Od was to w znacznej mierze zawisł los dzisiaj świata! Powiadają o was, że wy wszystko możecie! Rzućcie więc na szalę świata, gdzie oręż polski się waży, płonącą miłość waszą, a szala ta piekło przeważy!

Maciej Wierzbiński.

ORGANIZACJA.

Nastał czas, gdy Polacy muszą pokazać, że są narodem.

Napoleon.

Słowo „organizacja“ odbijało nam się często o uszy przed wojną podczas zapasów wojennych brzmiało na każdym kroku, narzucało się niemal nachalnie. Powtarzali je zwłaszcza nasi germanofile różnych kategorji i odcieniów, powtarzali z buńczuczną emfazą, niby rozwiewając sztandar, bo na doskonałej organizacji armji niemieckiej opierali, zawsze i wszędzie, przeważnie swą wiarę w ostateczne zwycięstwo krzyżackiego oręża i tem słowem przypierali do muru oponentów. W słowie „organizacja” mieścił się może najsilniejszy argument aktywizmu. I, rzeczywiście, wobec takiego dictum, wobec znakomicie i szczęśliwie funkcjonującej machiny wojskowej niejeden zapominał języka w gębie, wił się, kurczył i milkł, pokonany. Trudno było przeczyć, że dzięki tej organizacji, Niemcom powodziło się naogół dobrze, że wzięli w okupację przeogromne szmaty obcych ziem a koalicja rady sobie z nimi dać nie mogła. Znać coś tam w jej armjach szwankowało. Ot, nie nie miała tak doskonałej jak Niemcy organizacji.

Na to wskazywali palcem germanofile i aktywiści i z tego wyciągali wniosek — który jakby pięść pod nos oponentom podsuwali — że wogóle żaden inny naród, jak tylko niemiecki, nie jest zdolen do takiego wybornego zorganizowania olbrzymiej armji i nietylko armji: całego życia państwowego i ekonomicznego. Trzeba być narodem z bożej łaski, narodem wybranym aby się na to zdobyć. Naród taki musi zwyciężyć; on zda się przedestynowanym do największych rzeczy, może nawet do — panowania nad światem.

Począwszy od uznania dla doskonale zharmonizowanych czynników armji Wilhelma, dochodziło wiele umysłów po tej linji do tak zawrotnej admiracji dla całego narodu niemieckiego, że z nim losy Polski chcieli skojarzyć. Dochodzili do tego tem snadniej że od Niemców biło łuną niesłychane samouwielbienie; wierzyli oni, że są zgoła najdoskonalszym narodem na świecie, i trąbili to w uszy wszystkich. A do wywołania wrażenia pomagała im w tem znakomita, zupełna nieznajomość ich charakteru narodowego u naszych aktywistów. Politycy ci słyszeli wprawdzie coś niecoś o antypolskiej polityce berlińskiej w zaborze pruskim, o kolonizacji, wywłaszczeniu, o dzieciach wrzesińskich i wozie Drzymały, ale na tem koniec; wszystkie te fakty i zajścia pozostały martwą, zapomnianą literą, gdyż nigdy ich nie odczuli i wniosków z tego nie wyciągnęli. A w psychikę tego narodu nie wkraczali wcale. I tak, albo tworzyli tłum sympatyków aktywizmu, albo rzucali się w zdradliwe wały przyjaźni pruskiej, na której jak świat światem nikt jeszcze dobrze nie wyszedł prócz — Prusaków samych.

I cóż ostatecznie się okazało? to, co okazuje się zwykle, że prawda leży wpośrodku a ci wielbiciele niemieckiej organizacyjnej sprawności zagalopowali się daleko w krainę Nonsensu, gdzie człek kark kręci.

Że bez dobrej organizacji nie może istnieć

olbrzymie, z setek tysięcy z miljonów ludzi złożone ciało, to oczywiście jest jasnem i pewnem jak to, że dwa a dwa jest cztery. Wojna wykazała, że dzięki tej zalecie swej armji Niemcy odnosiły poważne nawet sukcesy i trzymały się na nogach bardzo długo. Jest to przeto niewątpliwie pierwszorzędna, czołowa zaleta. Ale... przeceniano ją stokrotnie, stawiając akcjomat że lepsza organizacja zwycięży. Bo nie zwyciężyła, nie zwyciężył Drill, tresura do ogłupiania systematycznego doprowadzona, nie zwyciężyła wcale machina lecz—wyższa inteligencja, duch. Bo jak mówi Pismo święte—duch prowadzi do zbawienia.

I okazało się jeszcze coś innego, a mianowicie, Niemcy nie mieli wcale monopolu na wielkie zdolności organizacyjne. I wnet zastanowiwszy się, pojął niejeden że wcale nie jest toprzejawem wyższej kultury lub jakiejś genialności rasowej. Nie! Swoją organizację, jaka przyniosła armji ich tyle trofeów, zawdzięczali Niemcy akurat temu, że nie są narodem orłów i genjuszów.

„Taka dobrze funkcjonująca machina państwowa (pisałem w tej materji w broszurze) i ta machina — w skrajnem przeciwieństwie do doskonałej angielskiej machiny państwowej i militarnej — uwarunkowana tysiącami przepisów i zakazów oraz utrzymywana w karbach przez przeliczną armję urzędników, jest wytworem niższych, mniej wartościowych zalet, któremi można się cieszyć ale nie chlubić. Właśnie tylko naród przyziemny, materjalistyczny, małomieszczański, odrzucający wszystko co nie daje natychmiast widocznych, doraźnych korzyści, mógł kreować taką biurokratyczną arcyskomplikowaną organizację państwową i wojskową, jaką jedynie słynna zarozumiałość niemiecka mogła nam podawać za dowód genialności. Ujawnia się w niej wprawdzie sui generis—geniusz rasowy, ale z genialnością utożsamia to wyłącznie niemiecki megaloman“.

Bez dobrej organizacji nie może w dzisiejszych czasach istnieć ani państwo, ani armja, ale i najlepsza organizacja nie zapewnia jeszcze wojsku zwycięstwa.

W tej epoce, gdy obsiadło nas tyle trosk i kłopotów organizacyjnych, gdy ku utrapieniu patrjotów mnoży się z dnia na dzień lista defraudacji, łapownictwa i zdrady, tak iż nie jeden zrozpaczony, małego ducha człowiek mógłby zwątpić o naszem jutrze — możemy pocieszyć się i podnieść na duchu przez ten wzgląd, iż do stworzenia nawet istotnie doskonałej organizacji nie potrzeba nam wcale genialności. Jest to zwykle dzieło mniejszych ludzi.

Wystarczą trzy rzeczy: dobra wola, zdrowy rozsądek i pracowitość.

Zresztą powiedzieć sobie musimy, że bądź jak bądź, nasze intendantury i cała organizacja wojskowa nie może jednak być tak złą, wadliwą i zatrutą, jeśli nasza armja podołała rebus in arduis tak poważnym zadaniom, ba! nawet imponujące odniosła sukcesy, okryła sławą swe sztandary, respekt i cześć budząc w świecie dla młodej Polski. Więc jad rosyjski łapownictwa nie przeżarł do szpiku intendantury, więc są w niej — i to w przewadze — ludzie dobrej woli, rozsądku i pracowitości.

Przyklasnąć też trzeba temu, że wytaczając takie sprawy na jawę dnia białego, ogół piętnuje hańbę, a władze jednocześnie pociągają szkodników przed sąd. Byle tylko stosowano do nich najsurowsze kary, i to jaknajszybciej, bo rozgoryczona opinja publiczna domaga się nietylko kary, ale zadośćuczynienia za hańbę, jaką ci zbrodniarze okrywają naszą Ojczyznę. Ogół zapłonął słusznie tak srogim gniewem, że trzeba mu zaraz głowy złoczyńców.

Ufamy, że będzie lepiej, że wykorzenimy zło w zarodku i wszyscy urzędnicy dobrej woli podadzą sobie swe czyste i zacne ręce, by na swych barkach wznieść u spodu naszej armji trwałe, rzetelne, niezłomne jej podwaliny.

Zresztą każdy, nawet prosty szeregowiec, może ze swej strony przyłożyć do tego dzieła cegiełkę, jeśli trzymając się przepisów, nie będzie w niczem zakłócał i psuł harmonji machiny.

Trzeba nam wszystkim zapisać sobie, wryć w pamięć głęboko niejedną prawdę, która w swej prostocie banalną może się wydawać, ale dlatego właśnie, że jest tak na ulicy leżącą, katarynkową, posiada moc dogmatu, wypisanego w kodeksie narodowym.

A więc:

„Niech każdy żołnierz święcie wierzy, że armja będzie taką, jakim on sam będzie“.

„Niech każdy Polak święcie wierzy, że Polska będzie taką, jakim on sam będzie“.

Gdy temi prawidłami przejmie się znaczna większość żołnierzy i obywateli, gdy każdy z nas czuć się będzie integralną, nierozerwaną Ojczyzny cząsteczką i nosić będzie w piersi tą świadomość z dumą—wszystko wtedy łatwem nam będzie.

A organizacja? to wówczas bagatela.

EUGENJUSZ KORWIN MAŁACZEWSKI.

DZIEWIĄTA FALA CHROBREGO.

PIEŚŃ O POLSKIEJ WSPÓŁCZESNOŚCI.

Panu Adamowi Grzymale - Siedleckiemu.

Oczom mej wyobraźni, rwącej się duszą w zaświaty,
Rycerz często się jawi, pióry orlemi skrzydlaty,
łuską lśniący pancerną, w zamkniętym przyłbicą
[szłomie;
chwiejny nad nim pióropusz, jak dymem spowite
[płomie,
wciąż porusza się, niby chorągiew na wichrze sławy.
W stali cały i miedzi Rycerz jest, wielkiej postawy;
milczy; dłonią w żelazie nie zdejmie krat grubych
[z lica;
błyszczy jeno z widzierów wzrok, jak poświata
[księżyca.
Zasię, kiedy przemówi—słowa skanduje, jak w pieśni:
brzmi to, jak cios fal głuchych, co swój hekzametr
[w skał cieśni
pluszczą a powtarzają szumem o puste wybrzeża ——
Ze mną teraz słuchajcie:
Głos z pod przyłbicy Rycerza.
— Lachy! o Polskę wieczną, będącą w was się upomnę,
wy-bo plemię jesteście, Chrobrym i Śmiałym potomne.
W serca przeto wołaniem, jak w tarcze mieczem
[podźwięknę,
iżby granie rozległo się, wspaniałością swą piękne.

Prawo boże, co gwiazdom biegu wykreśla ich kręgi,
przed dziewięciu wiekami Polsce—Jej drogę potęgi,
świetnej niby komecie, raz wykreśliło na zawsze.
Odtąd po niej szła wiernie, spójrzcie, przez walki
[najkrwawsze;
z krwi swej wzięła purpurę, srebrnemi orłami śnieżna!
orla zawsze, a chociaż: orla tak,—nigdy: drapieżna!
Wieki dziejów Narodu zliczcie na ducha różańcu:
mija dziewięć stuleci, odkąd trwa czynem na szańcu —
wieczny żołnierz Chrystusa, Rębajło Jego idei.
... Malborg — Moskwa — Carogród... skon ... Lecz
[z dziejowej zawiei
wstaje, za miecz porywa ręką zwyczajną oręża,
dziwnie walczy, zaiste! Po archanielsku zwycięża!
Cud się iści od nowa. Koło zamyka się dziejów.
Znów poczyna się wszystko, jak ongiś: za Koło-
[dziejów.
Cud powtarza sam siebie. Podniósł się szczerbiec
[Chrobrego.
Granic waszych, żołnierze odwagą skrzydlaci strzegą.
Polska brzegiem swym dawnym wsierpia się w Bałtyk,
[jak ongi.
Blaskiem zwycięstw okryci Mężowie, jako posągi,
wstają; wieczny testament) Narodu kartę za*
[kartą
piszą, idąc przez kresy drogą na Kijów otwartą.
Z nurtem Dźwiny płynące te wasze zwycięskie trupy
głośniej mówią, niż owe trąby mosiężne i słupy,
chrobrem wbite rycerstwem w dnieprowe nadenne iły.
Wiek się wierszy znamienny-stulecia go wyłoniły;
osiem jest ich, uważcie. Jak w niebo spiętrzona fala,
krzykiem biją do Boga, a każda z fal coś wyzwala:
Ledwo piany ostatniej tej waszej—ósmej—nawały,
w obcych brzegach, lub w stepach Sybiru, poodkwitały,—
przyszła wnet z oceanu waszego istnienia dalsza,
jakoby głosem wiela wód grzmiąca i najwspanialsza;
ziemie przedtysiącletnie duchem swym wielkim zalała,
piersią szlachty swej nowej, hekatombami jej ciała,
jej bagnetem ogródła. Cześć tobie wieczna i chwała—
falo ramion orężnych — Chrobrego dziewiąta falo!
To lecz wiedzcie: potrzeba tak targnąć dziejową szalą,
aż się losy znaczone gwiezdnemi wróżby przeważą,
iżby Naród na cały świat rozsłonecznił się twarzą!
Mało rzucić na szalę jedynie wagę oręża —
cała Rzeczpospolita niech dzisiaj ramię natęża,

**) Wieczny testament — jak go August Cieszkowski rozumiał.*

wrośnie wszystka w to ramię, wspólnym wysiłkiem
[niezłomne.
Przetoż o Polskę wieczną, będącą w was się upomnę,
Ja, Król Duch wasz, w żelazo od stóp do czoła zakuty.
I będę w serca uderzał tem napomnieniem dopóty,
aż to Morze, co szemra dziś rozgadaniem przy-
[ziemnem
między Wisłą srebrzystą a cichym błękitnym Nie-
[mnem, —
górnie całe zahuczy fal miljonami dwudziestu,
naprzód dumnie potoczy się i—z królewskością gestu—
czyn swój spełni, za który je Aniołowie pochwalą, —
swemi dusz miljonami dwudziestu — stanie się falą
jedną, straszną, potężną — hej! moją falą dziewiątą...
Orły z niej, jak rybitwy, wkształt bryzgów piany
[wylecą
i nad mojem dziedzictwem, wam przywróconem,
[zaświecą
jako gwiazdy przewodnie! — —
Chrobry przemawia tak. On-to
bowiem jawi się teraz w czynach i miecza i ducha.
Jako Król Duch powiada. Kto uszy ma — nie-
[chaj słucha.

19/X 1919. W dniu Zjednoczenia Armji naszej.

Mieczysław Jarosławski.

KU MORZU.

Skąd płyniesz, migotliwa kro wiślana, w tem porannem słońcu? Skąd toczysz, Wisło, rozbiegane, zdziwione dziś radośnie wody swoje? Wszak na wzgórzach polskich zasilasz prąd swój, wszak wzdłuż nizin polskich rozmodlona płyniesz w przestrzeń...

I kędyś pod murami warownego Torunia jeszcze do niedawna przeglądał się w zwierciadle twojem ostry szpic pikelhauby; jeszcze do niedawna musiałaś wstydzić się przed światem, że brzegów twoich pilnuje wartownik o teutońskiem obliczu.

Do niedawna...

Tak, to dziś po moście zawieszonym nad twoim nurtem tam i z powrotem przechadza się żołnierz polski,

Dlategoś tak zdziwiona radośnie, dlategoś roześmiana...

A choć chmura smutku jeszcze przemknie po czole twem pod murami Gdańska, choć zadziwisz się, że tam nie zastaniesz swojaka z orzełkiem na rogatywce, że nie uśmiechnie się do ciebie życzliwie i nie wskaże ci drogi kędy masz wlać się do morza, aleś dziś tu radosna, bo wierzysz mocno, że i to należne ci szczęście opieki rodzinnej kiedyś w niedalekiej może przyszłości rozpogodzi ci na zawsze oblicze...

Wierzysz, a my wraz z tobą wierzyć musimy, jak wierzyliśmy dotąd, że nastąpi chwila, kiedy pieśń polska cię tu powita, a dłoń swojaka w noc świętojańską tradycyjny wianek z chabrów poprzez kraty mostu na wody twoje ciśnie...

O, jakże pełne mam serce tej natury pięknej!

I już tylko z pobłażaniem uśmiecham się nad pierwotną i niedołężnie perfidyjną robotą rąk nieznanych, które tuż za Tczewem. tuż u wylotu twego, o rzeko polska, do morza polskiego — stworzyły obcą placówkę i łany...

Ale wraz z tobą, rzeko nasza, płynie potężniejsza fala — fala ludu polskiego. I ona odprowadza cię do morza, aż kiedyś wraz z tobą nad bursztynowym brzegiem stanie i pieśń żegnalną zaśpiewa i pieczy nurtów twoich powierzy łódź naszej potęgi narodowej, aby ją niosła przez wody obce w świat, w przestrzeń i tam niezmordowanym swym rytmem powtarzała: jesteśmy!

Bo spojrzyj jeno na ten gród warowny. Zatrzymaj się na chwilę... Patrz!

Ponad czerwonemi murami gotyku rozperlił i roztrzepotał skrzydła swoje orzeł biały.

I zdaje się, że obraz swój odbił w tysiącach kolorowanych tęczą szyb okiennych.

Wszędy — od suteryn aż do poddasza. Patrz!

Oto ulice grodu w tem zimowem powietrzu spowiła świeża zieleń... Snadź wielka dziś uroczystość w tym grodzie...

Bo nieskończonym szeregiem ciągną się bramy tryumfalne...

Ko tu dziś ten tryumf święci?

Czy to niezwyciężony teuton z pola bitwy wiedzie hufy swoje zbrojne? Czy krwią niewinnych nasycone wracają knechty?

Czy pod arkadami łuków tryumfalnych przejść ma ten, który w obcej matkom polskim sprawie wywiódł dzieci ich na krwi przelanie?

Czy upojony zwycięstwem zgotował sobie tędy drogę wiodącą, het, ku nizinom bezbronnej męczennicy — Polski?

Nie, rzeko nasza!

Inny to gość zawitał do starej warowni! Gość?!

Nie, to wrócił syn!

A rodzic siwizną przyprószony i matka dotąd — żałobnica i ten brat najmłodszy, który pod osłoną jej skrzydeł powtarzał uporczywie pacierz dziecka polskiego — zgotowali powracającemu te przyjęcie.

Bo wraca wypędzony przemocą wrażą stąd syn polski.

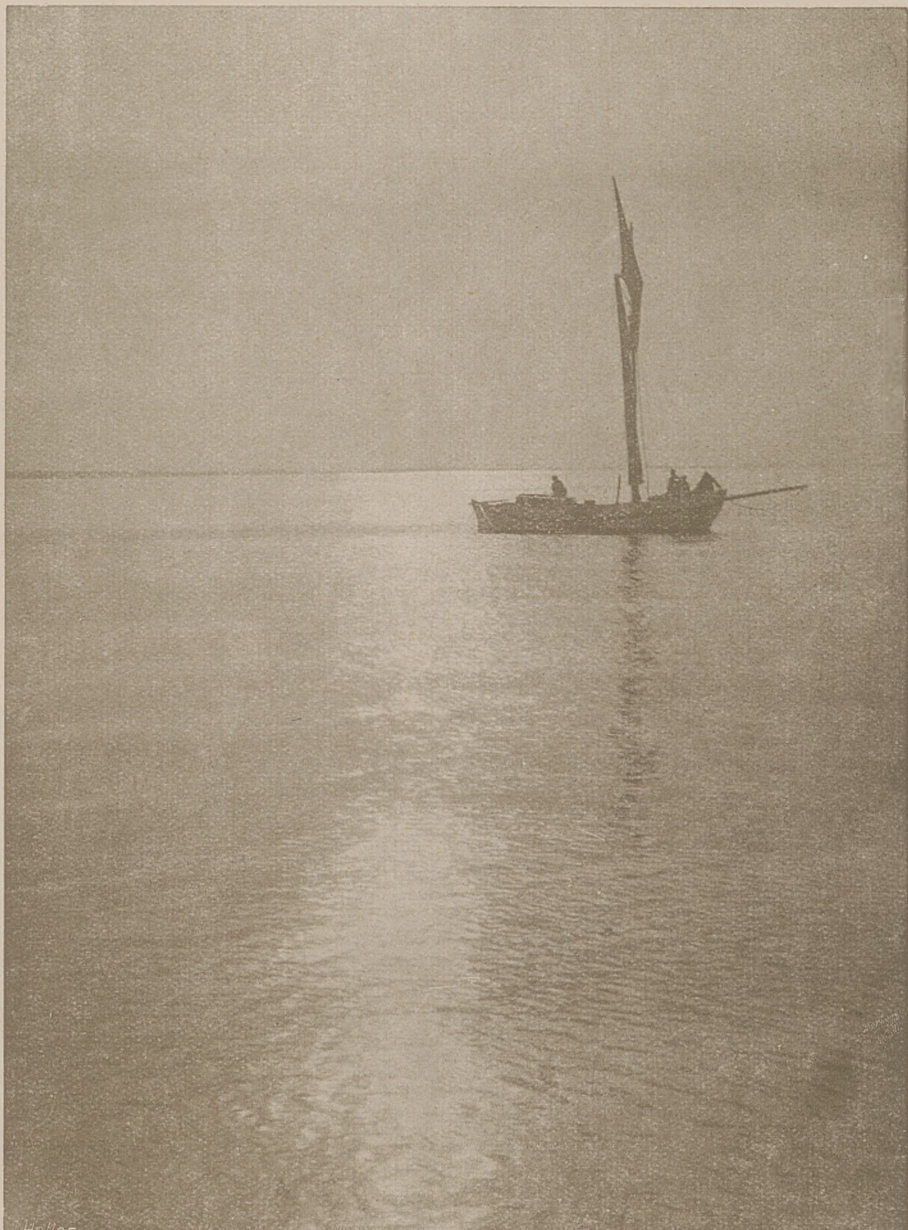
Z dalekich pól bitewnych wraca, z tych krain obcych śpieszy, kędy krwią serdeczną okupywał prawo do powrotu...

Lecz cóż za przemiana?!

Wychodził tragiczny, obcem napiętnowany godłem, a dziś przez łzy perliste witająca go matka widzi na nim znaczki, za które dawniej wtrącano do więzień.

Przeciera strudzone, przyblakłe od długich wypatrywań oczy.

Nie, wszak ją wzrok nie zawodzi... To polskie godło, to orzeł biały ozdobił błękitny płaszcz jej syna! I tak rozczuleni padają sobie w objęcia. Matka radością płacze, że syn jej — to wojsko polskie, on, że wró-



Na polskiem morzu.

Fot. ze zbiorów Tow. Krajoznawczego.

J. T.

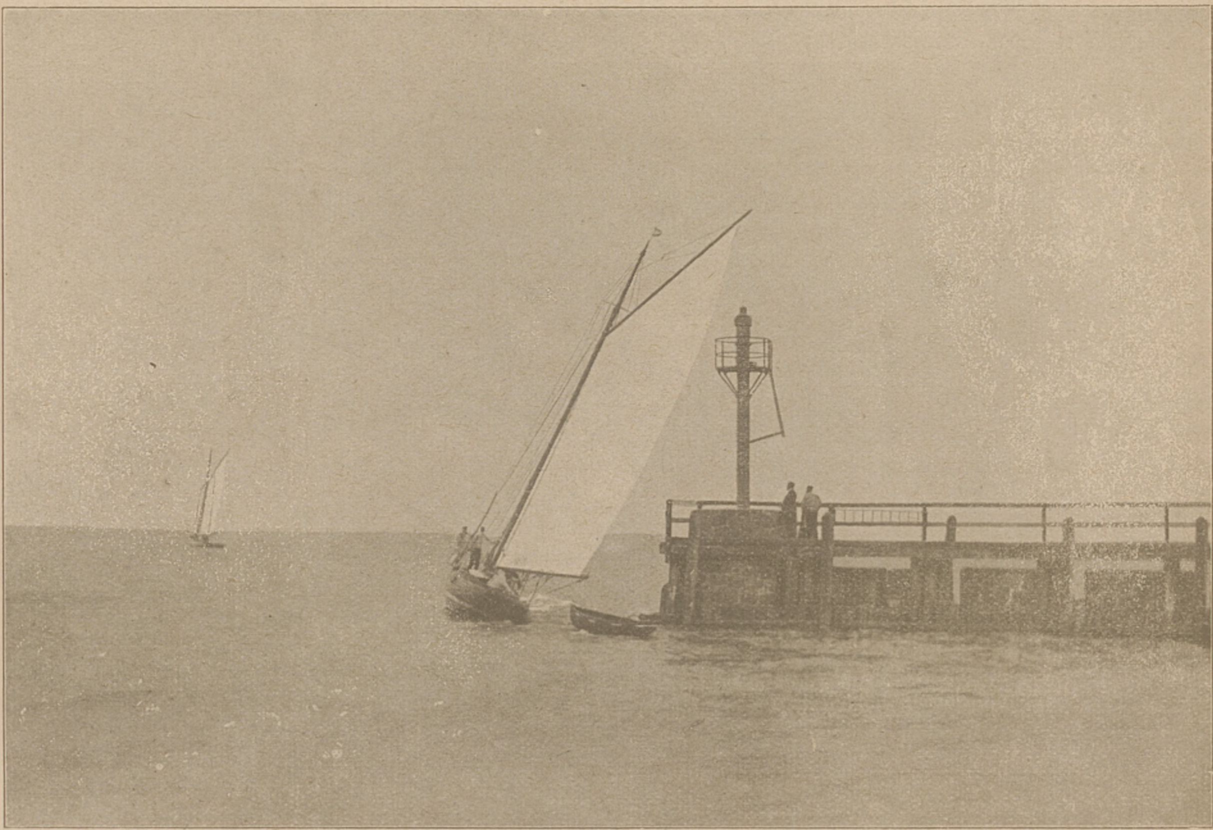
WŚRÓD NASZYCH WÓD



Z pobrzeży Bałtyku. Port w Helu.



W zatoce u kaszubskich brzegów. Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajoznawczego.



Z pobrzeży Bałtyku. Wyjście z portu w Helu.



Gdańsk. Długi pomost nad Motławą z wieżą Kafarową.



Ogólny widok Gdańska od strony południowo-zachodniej. Stara akwaforta ze zbiorów Bibljoteki hr. Krasińskich.

cił do miasta swego, które teraz polskiem głośno nazwać już może...

Czy rozumiesz, rzeko łez polskich, przez lata niewoli wylanych, czy czujesz ile w tem spotkaniu radości? O, nie mniejszy to ogrom szczęścia niż ten ciężar bólu, który przez półtora wieku rozsadzał pierś polską!

A żołnierz przeszedł rozbarwione ulice grodu rodzinnego, odetchnął jeno tą radością matczyną, duszę po znojach bitew pokrzepił całunkiem i poszedł dalej...

I wszędzie, kędy krok jego ziemi dotknie — staje się znów Polska...

I jeno ten wzrok rozradowanej matki łzą miłowania wielkiego a szczęściem zamglony poprzez promienny opar słonecznego ranka za synem biegnie...

Bo cud widzi...

Kędy on stąpi — tam znów ziemia polska! Aż ponad krańce jej przyjdzie i fala morska zaszemrze radością u stóp jego...

To morze... To polskie wrota...

To okno w świat szeroki rozwarte. To droga do czynów, do lotu ducha polskiego.

Droga do życia wielkiego narodu...

O, rzeko nasza, zawróć swe wody, zawróć na chwilę i pędź na te niziny mazowieckie, podkarpackie wzgórza z których wyrosłaś i powiedz tam, powiedz wszystkim tym, którzy na wieść radosną, na chwilę cudu czekają, że cud już, już się dokonał. Niech w modlitwie kornej na kolana padną, niech pieśń potężna, dziękczynna wyrwie im się z piersi i uderzy w niebiosa, niech zawtórują im spiżowe gardziele dzwonów z wież kościelnych i obwieszczą w kraju, że powrócił syn, że cud się staje.

Spiesz, rzeko, wysłanniczko poprzez łąki, pola i lasy, pod ogrody i sady wsi polskich, pod mury miast i budź lud polski, budź do czujności w epokowej chwili naszej Ojczyzny.

Niech stanie kto żyw na nogi, niech kto żyw wytęży słuch, by grzmot dział morskich usłyszał, grzmot wieszczący nam, żeśmy powstali...

Spiesz, by nie zaspał nikt, bo jeśli nie przebudzi się dziś — na zawsze wzrok utracił.

Spiesz i szykuj szranki polskich serc! Bo idzie ku nam Polska!

Z poszumem fali morskiej przez wsie i pola i grody i ponad bory przejdzie Ojczyzna.

Przejdzie i w rozwarte serca braci polskiej z żarów swoich niezniszczalnych nowe zażewie istnienia swego ciśnie...

I tak rozpłynie się ta wymarzona wizja poetów, by odtąd w każdem sercu polskiem i razem we wszystkich jednako rozgorzeć i zaświecić.

Spiesz, rzeko — wysłanniczko, bo cud się iści.. A kiedy już wszystkich obudzisz, kiedy już podniesiesz ten bezmiar pochylonych dotąd głów polskich, kiedy jednym rozniecisz płomieniem serca wszystkie, wtedy powracaj...

Powracaj potężniejsza, pienistsza i bardziej żywiołowa niż dotąd i uderz piersią swoją w tamy gdańskie, rozpruj uderzeniem bohaterskiej piersi swojej tę sztuczną przegrodę dyplomatycznych karłów i z Polski pochodząca, Polską żywa z Polski pieśnią żywiołu wlej się w morze!

Słyszysz?!

Oto lud idzie już za tobą...

Twój groźny pomruk powtarza tysiąckrotnem echem...

I nic się przed nim nie ostoi co z zawiści i niesprawiedliwości przeciwstawićby mu się chciało...

Bo naród — to życie, a życie znosi zapory i w nocy powstałe kretowiska!

Jerzy Bohdan Rychliński.

Z CYKLU MORSKIEGO.

WYMPEL.

Na saling się wdrapałem. Nademną polata
Wympel długi, błyszczący jako symbol Chwały
Narodowej, co sięga aż ku krańcom świata
I w stalowe ramiona ujmuje świat cały.

Wdrapałem się na saling, na bocianie gniazdo,
Tutaj reje pląsają pod orkanu granie
I żegluga po morzu jest powietrzną jazdą,
Jaką lotnik odbywa, lecąc w hydroplanie.

SZALUPA.

Gdzie morze jest cichsze, wiej, wichrze, wiej!
Prysł u burt sierp szklany. Deszcz piany spadł z rej.
Wiatr nagli! Trzask żagli o masztów piszczele...
Ster łodzi zawodzi i fale z pian piele.

Zuzanna Rabska.

SIOSTRA ANIELA.

NOWELA.

Gdy ksiądz z ostatniemi sakramentami opuścił pokój szpitalny i siostra Aniela była już pewną, iż ranny, zmęczony poprzednim opatrunkiem, uśnie niebawem, położyła rękę na tym skrawku głowy chłopięcej, który nie był zakryty bandażem i powiedziała po cichu:

— Śpij biedaku.., śpij mój biedny chłopaku...

W głosie jej drżały akcenty wielkiej, macierzyńskiej miłości, którą było wypełnione jej tkliwe staropanieńskie serce. Ranny żołnierz drgnął. Głowa owinięta świeżemi bandażami, z pod których ni oczu, ni ust, nawet uszu nie było widać, poruszyła się i opadła napowrót na poduszki, jak ciężka, martwa kula.

Z pod bandaży wyszedł szept — bełgot: Matuś!

Był to jedyny dźwięk, który dobywał się od czasu do czasu z poszarpanych odłamkami granatu ust chorego. Nie rozumiał go nikt, rozumiała tylko siostra Aniela.

Lekarz, pełniąc swój zgoła już zbędny obowiązek, wsunął się na chwilę do pokoju i powiedział prawie głośno do siostry Anieli:

— Dziś w nocy, lub nad ranem... Serce już bardzo słabe... Mogę jednak zostawić pani kamforę...

Przerażona spojrzała na niego i położyła palec na ustach.

— Nie słyszy, — uspokoił ją doktór. Od paru dni nie słyszy i nie widzi już nic. To twarz zmiażdżona granatem... Nie lepiej to takiemu umrzeć odrazu?

— Oh nie! nie lepiej! odpowiedziała z uniesieniem siostra Aniela, patrząc w okno, przez które wdzierały się do białego pokoju szpitalnego kiście akacji, pełne wonnej, wiosennej słodyczy i widać było mały skrawek czystego lazuru nieba.

Usiadła przy rannym żołnierzu z rękami splecionemi na białym fartuchu, i przyrzekała sobie w duszy spełnić swój obowiązek do końca, Od paru dni zaledwie, od dnia, gdy nadszedł nowy transport rannych z frontu, był pod jej wyłączną pieczą. Nie wiedziała o nim nawet jak mu było na imię. Chłopak leżał cichutko, jak dziecko pogrążone w śnie. Od czasu do czasu jednak stygnącem ciałem wstrząsał dreszcz i z poduszki unosiła się w straszliwym wysiłku wielka, biała głowa. Siostra Aniela wiedziała dobrze, że mały żołnierz nadsłuchuje. Ona to wiedziała, mimo zapewnień lekarza, że ranny już nic nie słyszy. Wiedziała także, że on wypatruje kogoś. Wiedziała to, mimo zapewnień lekarza, że ranny chłopiec nic nie widzi.

Wiedziała siostra Aniela czyich kroków szelestu i czyjego widoku oczekuje umierający mały żołnierz. Westchnęła i siedziała cichutko z oczami wlepionemi niespokojnie we drzwi, jakby i ona spodziewała się, że te drzwi zamknięte otworzą się wreszcie i ten ktoś, drogi bardzo i utęskniony, stanie w nich z dobrem słowem na ustach.

Wieczór zwolna zapadał. Ściany, z białych stały się szaremi, a woń akacji była coraz słodsza i mocniejsza i zabijała prawie ostrą woń jodoformu, Siostra Aniela wstała i zamknęła okno. Kilka płatków akacji, które spadły na okno, położyła sobie na dłoni i wetchnęła z lubością ich migdałowy zapach. List, porzucony na oknie i nie rozpieczętowany, włożyła machinalnie do kieszeni fartucha.

Poczem wróciła na swoje miejsce, przy łóżku rannego.

Nie było koło niego nic już do roboty. Leżał, jak trup, jak martwa, nieruchoma bryła, Ta martwota przerażała siostrę Anielę. Przypomniała sobie, nie wiedzieć czemu, jak kiedyś, kiedyś, bardzo dawno, bo w swojem dzieciństwie, siedziała tak samo przy chorej lalce. Lalka miała potłuczoną główkę z porcelany i także ją spowiła w bandaże i sprawowała przy niej straż przy łóżeczku z bambusowego drzewa, długo, długo bardzo, bo lalka miała umrzeć. Na imię jej było Małgosia. Tak, pamięta dobrze: Małgosia. Ale w ostatniej chwili zrobiło się siostrze Anieli żal, że, Małgosia ma umrzeć, bo umrzeć to znaczy leżeć pod ziemią. A na świecie wtedy była zima, biała, ostra zima i Małgosi pod tym śniegiem i lodem mogło być bardzo zimno. Więc siostra Aniela w ostatniej chwili, po długiem czuwaniu przy chorej postanowiła, że Małgosia będzie żyć. Rozwinęła bandaże, a wtedy okruchy porcelany rozsypały się na ziemię. Oh, jak płakała, jak strasznie płakała siostra Aniela! Przekonała się, że coś *chcieć*, to jeszcze nic nie znaczy, bo za nas i mimo nas postanawia ktoś wszystko to, co się stanie.

Ranny żołnierz jęknął. Siostra Aniela drgnęła.

- Nic i tu żadne chcenie, żadne życzenie nie pomoże — pomyślała po cichu. Już i tu wszystko zostało zadecydowane bezemnie...

Leżał oto przy niej, pod jej wyłączną opieką, nieruchomy już i pół martwy, jak ta porcelanowa Małgosia spowita w bandaże.

Patrzała na chore, cierpiące ciało, drgające pod kołdrą, temi samemi oczami, pełnemi łez.

Było to znowu jej dziecko, jej chore, cierpiące dziecko, dla którego ona nic zrobić nie mogła z tego, co tak pragnęło jej tkliwe, macierzyńskie serce.

A jednak... może zrobić jeszcze to jedno, póki nie jest za późno. To jedno zrobić może siostra Aniela:

Pochyliła się nad poduszką:

— Przyjedzie... wyszeptała z głębi duszy z mocnem przekonaniem. Napewno przyjedzie dziś jeszcze... Tylko jej widać...

Powiedziała to cicho, ale bardzo wyraźnie, bo była pewną, że umierający żołnierz ją słyszy i rozumie.

Cierpiącem ciałem targnął silniejszy dreszcz i znowu w ostatnim wysiłku dźwignęła się głowa w stronę drzwi.

— Matuś... — dobył się niezrozumiały charkot z pod bandaży.

— Usłyszał... pomyślała z radością siostra Aniela.

List zaszeleścił pod jej ręką, w kieszeni fartucha, Błogosławiona myśl! Ten list jest zapewne od matki małego żołnierza, od tej najdroższej i wiernej, na którą tak

czeka do ostatka. Przeczyta go, on ją natchnie i wskaże, co ma robić.

Rozdarła kopertę.

List był długi, pełen kobiecej, serdecznej paplaniny i egoizmu. Pisała go istota, nie zdająca sobie zupełnie sprawy z tego, co groziło synowi, jedna z tych istot, które dziećmi są przez całe życie, do końca.

„Wiem, Tośku, żeś ranny i że cierpisz, biedaku. Ale Bóg dobry sprawi, że z ran się wyleczysz i powrócisz do Gralewa niedługo, a ja bardzo cieszyć się będę z ciebie, żeś taki zuch, mój Tośku. Wczoraj dałam za ciebie na Mszę świętą. Była szaruga cały ranek, ale podczas Podniesienia zaświeciło słonko. Z tego widzę, że Bóg da ci zdrowie i modłów naszych wysłucha. Choćbym chciała przyjechać do ciebie, Tośku, nie mogę, bo Leonka wyczekuje słabości lada dzień i muszę być przy niej, Wiktor bardzo o nią niespokojny. Przytem przyznam ci się w sekrecie, że w tych dniach chcę smażyć konfitury z białych czereśni, za któremi tak przepadasz, mój Tośku. Jeśli będzie okazja, przyślę ci słoiczek do szpitala, ale ojcu o tem nie wspominaj, bo by był zły. O cukier u nas trudno, a ja miałam trochę uzbieranego w woreczku, bo wiesz, że konfitury to moja słabość. Halusia przechodziła febrę, ale już zdrowa jak rybka. Tylko Nero kuleje. Chłopaki wiejskie przetrąciły mu łapę kamieniem, gdy w sadzie pilnował w nocy. Paciorkowska mówi, że to pewno te małe żydziaki od pachciarza. Ale ty im daruj i nie rób o to awantury, mój Tośku. Do serca cię tulę i błogosławię. Bądź zdrów —

Twoja stara Matuś.

P. S. Śniłeś mi się dziś w kuźni, na tle czerwonych płomieni. Przestraszyłam się, ale Paciorkowska mówi, że jak się śni ogień to będą pieniądze".

Siostra Aniela złożyła list i włożyła go w zamyśleniu nazad do koperty.

Jak lekcji, której uczyła się na pamięć, by ją za chwilę głośno wydać, powtórzyła półgłosem imiona ludzi nieznajomych, o których nawet nie wiedziała kim oni byli:

— Leonka... Wiktor... białe czereśnie... Nero z przetrąconą łapą... Helusia... Gralewo...

I po chwili jeszcze;

— Paciorkowska,..

* * *

W białym pokoju było zupełnie ciemno. Ostry zapach jodoformu, nie zabijany wonią akacji, panował tu znów wszechwładnie.

Przez szybę zaglądał księżyc.

Siostra Aniela nie zapalała lampki nocnej. Z oczami podniesionemi na prosty krzyż drewniany, wiszący nad łóżkiem rannego powtarzała, by nie usnąć, na głos słowa jakiejś modlitwy.

Wstała, okryła kołdrą drgające ciało chorego i ostrożnie, do szpary w bandażach, w miejscu, gdzie były usta, wlała łyżeczkę jakiegoś napoju ze szklanki, którym ranny począł się zaraz krztusić.

I znów ten szept — błaganie, który ona umiała rozróżnić i pochwycić wrażliwem uchem;

— Matuś!

Ręce umierającego szarpały na sobie kołdrę w najwyższem zniecierpliwieniu. Siostra Aniela patrzała z wytężeniem w drzwi zamknięte, jak zahypnotyzowana jedną myślą i nagle z mocą i stanowczością prostując swą wątłą postać, powiedziała:

— Już idzie...

Ranny poruszył się i wyciągnąwszy rękę z pod kołdry, wskazał nią drzwi. Mógł to być odruch bólu, ale siostra Aniela ten ruch zrozumiała tak, jak go zrozumieć powinna, i poszedłszy ku drzwiom, uchyliła je:

— Czy tu leży mój syn Tosiek? spytała szeptem zmienionym. Tak, tutaj, niech pani po cichutku wejdzie. Dzieńdobry, dzieńdobry. Oto tu leży pani syn Toś, który jutro będzie zdrów zupełnie. Ach to on? Jaki blady! Czy to ty, Tośku? Nie poznajesz mnie? Jestem twoja stara Matuś... Tak, to ja. Już z tobą teraz zostanę, jeżeli chcesz...

Tak szeptała siostra Aniela, zbliżywszy się na palcach do łóżka umierającego żołnierza. Szeptała tak, zmieniając co chwila głos, jakby to był dalszy ciąg jej zabawy z lalką Małgosią.

W pokoju wszechwładnie panowała noc, zacierając kolory i kontury przedmiotów.

Spiesząc się, bo lada chwila mógł zajrzeć do pokoju dyżurny lekarz, siostra Aniela mówiła po cichu, pochylona nad łóżkiem:

— Jestem przy tobie Tośku. Wszak mnie widzisz i słyszysz, prawda?.. Jechałam do ciebie z Gralewa tyle mil.., Wszyscy w Gralewie o tobie myślą i modlą się o twe zdrowie... Leonka... Wiktor... Halusia... Usmażyłam dla ciebie konfitur z białych czereśni, które tak lubisz... Oto są... Jedz, ile chcesz. Nero ma przetrąconą łapę, ale to nic. Będzie zdrów, zanim wrócisz. Paciorkowska kazała cię pozdrowić... No, wiesz już wszystko. A teraz śpij, mój mały Tośku, mój biedny dzieciaku... Jutro będziesz zdrów zupełnie.

Głos jej się załamał,

— Zostanę przy tobie... — kończyła najcichszym szeptem. Śpij spokojnie...

Nachyliła się nad głową, spowitą w bandaże i przytknąwszy drżące usta do kawałka młodego czoła, operlonego przedśmiertnym potem, ucałowała je długim, macierzyńskim pocałunkiem.

Krótkie drgawki przebiegały ciało umierającego żołnierza. Wielka kula obracała się na poduszce to w lewo, to w prawo, ostatnim wysiłkiem, jakby czemuś zaprzeczała, czy też niepomiernie się dziwiła.

Za oknem lekki wiatr poruszył gałąź akacji, która zadzwoniła w szybę, jak złowróżbna ręka...



Z TEATRU.

„Nie-Boska Komedja" jako dramat społeczny.

Skoro wielkie dzieło poezji przeszłości woła do nas ze scenicznych desek, rzuca w dzisiejsze prądy umysłowe swe ujęcie życia, staje się przeto jedną z nielicznych sił kształtujących naszą ideologję.

Lecz winniśmy wówczas stosować doń odmienne sprawdziany, niż póki spoczywało w skarbcu kultury czczone, uznane, nie wywołujące już sporów, bo życiu dalekie.

Winniśmy odrzucić bezwzględnie stanowisko komentatorskie, zaprzestać doszukiwania się rodowodów poruszanych myśli, wzajemnego związku z innemi dziełami, a zwłaszcza tak drogich zawodowym krytykom idei przewodnich.

Historykom literatury chodzi jedynie o umieszczenie dzieła w odnośnem miejscu ogólnego szematu prądów umysłowych epoki.

Oceniając zaś dzieło teatralne, jako zjawisko społeczne, szukajmy w nim wartości, jakie niesie dniu dzisiejszemu.

Nie-Boską zowią dramatem społecznym. Poczęła się w epoce, mieszczącej w zarodku wszystkie siły, które wyolbrzymione i spotęgowane poruszają dziś jeszcze życie nasze.

W jakim więc pozostaje stosunku dramat Krasińskiego do zasobu pojęć współczesnej mu epoki? Czy sięgnął do głębi sił społecznych swego czasu, czy ujął istotę ich zmagań? Jaką nam nową odsłania postawę serca i umysłu wobec potęgi złego w życiu? Oto pytajniki, jakie musimy stawiać, przemawiającej dziś znowu do nas Nie-Boskiej komedji. Od odpowiedzi na nie zależy jej znaczenie dla współczesności, nawiązanie jej wskazań z dobą obecną i nieprzemijająca wartość.

Tłem Nie-Boskiej komedji są dzieje początku ubiegłego stulecia.

Tryumfujące mieszczaństwo umacnia swe panowanie, organizuje się.

Wyczuwa się pulsowanie nowych sił, wzmożenie tętna życiowego. Cały układ społeczny przeobraża się w nowe, doskonalsze formy. Nieznaczne przesilenia gospodarcze są nieuniknionemi zaburzeniami organizmu, towarzyszami odbywających się przemian.

Ideologję ówczesną znamionuje dumna ufność jednostki w swe siły, nieograniczona pewność panowania nad światem. Jest to wynikiem rozmachu i natężenia sił ludzkich, wyzwolonych z powijaków feudalizmu, owocem doświadczeń Wielkiej Rewolucji i Napoleonowskiej epoki. Nawet reformatorskie plany ówczesnych utopistów oddychają tą wiarą w możność przeobrażenia życia przy pomocy światłej i silnej władzy.

Saint-Simonizm, odgłosy którego wypełniają Nie-Boską komedję, jedyny skrajny kierunek tych czasów, był ruchem inteligenckim, marzącym o uporządkowaniu gospodarki społecznej w podobny sposób, jak Napoleon zorganizował stosunki polityczne i państwowe Francji.

W epoce tej młodzieńczy umysł Krasińskiego dojrzał jedynie znamiona rozkładu, objawy zbliżającej się rewolucji społecznej. „Oczywistem jest, — pisał w listopadzie 1831 r. do Reeve'a — że szybko zbliża się upadek teraźniejszego towarzystwa europejskiego, że wszędzie równowaga zerwana, nadwątlone posady... W podobnem jesteśmy położeniu do państwa rzymskiego, konającego pod napadem barbarzyńców"...

Powstały dramat, odbija się przeto rażąco od realnego życia. Odbija się tem bardziej, że konflikt społeczny sprowadza się jedynie do walki nielicznej arystokracji ze zbuntowanym motłochem. Nieobecne są natomiast w dramacie te odłamy społeczne, na których po Rewolucji oparło się nowoczesne życie, a których jądrem jest liczne mieszczaństwo.

Wśród chórów trzeciej części Nie-Boskiej, daremnie szukalibyśmy tych nowych sił. A przecież w życiu realnem rządzące mieszczaństwo z łatwością umiało się uporać z objawami buntu dzikich instynktów ciemnych warstw społecznych.

Na oczach Krasińskiego Saint-Simonizm upadł, ginąc sromotnie po procesie Enfantin'a; ruch o szerszym kręgu został zdławiony w roku 1849. Groza rewolucji społecznej jest usunięta po dzień dzisiejszy dzięki tym siłom, które pozostały obce Krasińskiemu. Nie-Boska nie jest przeto dramatem społecznym, pozostaje obcą zagadnieniom, nurtującym współczesność, obcą realnemu życiu. Jest poetycką wizją starcia się dwuch oderwanych od wszelkiego podłoża sił, analizą wnikliwą obrazu buntu motłochu przeciw panom i królom gdzieś poza czasem i poza życiem.

Tracąc swą dla nas wartość społeczną dramat

przybiera znaczenie dzieła oderwanej i wysokiej poezji. Krasiński pogłębił genjalnie swą wizję: wypełnił ją splotem uczuć i wirem myśli. Przenikliwie sięgnął do dna namiętności, wybuchających zawsze wśród społecznych walk. Prześwietlił ostrą analizą stan umysłów i serc, wzburzonych wichrem rewolucji.

Nikt bowiem bardziej niż Krasiński nie posiadał wyczucia rozpadających się i ginących sił społecznych, nie przeżywał boleśniej, nie wyolbrzymiał silniej życiowych zjawisk ruiny i rozkładu, niemocy i buntu.

Nie niosąc nam wartości społecznych, daje przeto Nie-Boska głęboki obraz stanu uczuć i myśli, jaki towarzyszy zawsze przewrotom. W tem jej wieczyste znaczenie.

Skala życia naszego zawarta jest bowiem w zamkniętym kręgu przeżyć. Powtarzające się niezmiennie wiekuistym nawrotem, wypełniają one świat naszych wrażeń. W tej skali mieści się również świat uczuć i myśli Nie-Boskiej. Dlatego i dziś niektóre struny, poruszane przez Krasińskiego, dźwięczą odzewem w duszach naszych. Zwłaszcza obrazy rozkiełznania instynktów tłumu znajdują w duszy naszej odgłos wobec nowego wybuchu barbarzyństwa. Nasuwają się analogje z bolszewizmem. Ale tu jest jedyny związek Nie-Boskiej z dniem dzisiejszym. Walka, jaką musimy prowadzić z podnoszącą głowę dzikością instynktów, wymaga siły ducha, wewnętrznej mocy oporu. Nie-Boska nie wskazuje nam w tej walce przewodnich dróg: raczej osłabia mężną postawę duchową.

Henryk i Pankracy giną wskutek braku serca, wskutek niezgodności z nauką Chrystusa. Opatrzność więc czuwa nad światem. Wewnętrzna sprawiedliwość losu kruszy w odpowiedniej chwili potęgę złego.

Ileż w takiej postawie duchowej niemocy i bezsiły!. Bezczynne stanowisko wobec życia uzasadnia się wiarą w czuwającą sprawiedliwość. Jest to kapitulacja przed nacierającem życiem, pocieszanie się istnieniem wyższych praw. Istotnie Krasiński ulegał zawsze stanowisku niemocy i bezsiły wobec przepływającego obok innego życia historji. Stanowisko to usiłował uzasadnić, dorabiając drogą konstrukcji umysłowych odpowiedni po temu obraz świata. Przerzucanie więc ciężaru walki z potęgą złego na siły zewnętrzne, zamiast rozbudzania i wzmacniania dusz, jest postawą duchową obcą nam dziś i szkodliwą. I w tem również istnieje rozdźwięk między Nie-Boską, a chwilą obecną.

Dramat Krasińskiego jest właściwie poematem djalogowanym. Nie jest dziełem scenicznem. Tworzy łańcuch wizji, zrodzonych z konstrukcji umysłowych, z gorączkowej, wysilonej gry wyobrażeń, wizji chłodnych, bezcielesnych jak rozmowy duchów. Nie płonie w nim ogień namiętności, uczucia nie mają siły i żaru gorącej krwi. Jest poezją rozumu nie serca.

Język Nie-Boskiej retoryczny, namaszczony, czasem napuszony, łączy się ściśle z charakterem ogólnym dzieła. Całość wywiera swoisty, choć niesamowity urok. By postawić dzieło na sceniczne deski, należy podkreślić jego oddalenie od życia, chłodny rozumowy ton jego wizji, ująć w ramy obrazów o barwach niepewnych, o kształtach twardych i mistycznych, jak ruiny katakumb.

Teatr Polski w swej wspaniałej inscenizacji słuszną poszedł drogą. Dał Nie-Boskiej oprawę odpowiadającą wewnętrznemu charakterowi.

Wystawione dzieło wywarło wrażenie niezwykłe. Nastrajało słuchaczy na ton poetycki, podnosiło uczucia na wyższą skalę, choć nie wyzwalało ich w akordach harmonijnych i drgających życiem, choć nieraz pozostawiało męczące wrażenie wysilonych wizji. W każdym razie było czynem doniosłym. Wypełniło dotkliwą lukę w repertuarze narodowego teatru.

T. Karaziński.

O dramacie Żeromskiego
„PONAD ŚNIEG".

Są poczciwi ludziska, którym Żeromski przestaje się podobać. „Wypisał się" powiadają, zdziwaczał, wpadł w mistycyzm. Nie dane im jest, aby zrozumieli, iż Żeromski właśnie wyzwolił się oto od samego siebie. Dawniejsze dzieła tego autora przyzwyczaiły czytelników do innej dominanty w duchowym wątku. Było tam pewne stałe zacięcie — sadystycznego gmerania się w jelitach wypatroszonej duszy, bądź ogólno ludzkiej, bądź polskiej. Krytyka wmówiła w czytelników, że to gmeranie się i patroszenie jest właśnie najwyższą wartością, na jaką autora stać. Przeoczono cały łańcuch cudownych napomknień, mówiących, że autor szuka jakiejś innej, wyższej nad posiadaną, religji i że tęskni do niej tak tytanicznie, jak to jeden bodaj Żeromski u nas potrafi.

To co w „Ludziach Bezdomnych", „Walgierzu Udałym", „Popiołach", „Sułkowskim" i „Urodzie Życia", było jeno napomknieniem, obecnie w „Charitas", a zwłaszcza w dramacie „Ponad Śnieg", urosło do wielkiej miary przeżyć religijnych i przeczuć, że prawda leży w rzeczach odwiecznych, oklepanych, lecz cudownych, jak pacierz. W „Charitas" mamy przecudną opowieść o plugawej, zniepravionej do dna ludzkiej duszy, którą odkupiło Miłosierdzie, czyli *miłość z serca* ludzkiego do bliźnich płynąca. W sztuce „Ponad Śnieg" stajemy twarzą w twarz z zagadnieniem grzechu i pokuty, która *musi* odkupić grzech.

„Ponad Śnieg" jest czemś więcej, niż dramatem, dorasta bowiem do tego rodzaju w sztuce, który określa się, jako tragedja, — dla ogromu poruszonego zagadnienia i sposobu ujęcia i rozwiązania tegoż.

Fabuła tragedji (słuszniej będzie tem mianem nazywać „Ponad Śnieg)" wygląda tak:

Niejaki Wincenty Rudomski, w skrytości przed matką, kocha swoją krewną a wychowanicę matki Irenę, która odpłaca mu równem uczuciem, chociaż jest zaręczona z kim innym, ulegając woli samowładnej dziedziczki na Łuży, kresowej matrony, pani Rudomskiej. Za sceną szaleje powódź. Rudomska posyła Wincentego na spotkanie narzeczonego Ireny, który lada chwila ma nadjechać — nazajutrz ma odbyć się ślub. Wincenty nietylko nie ratuje z powodzi współzawodnika, lecz rozmyślnie popełnia zbrodnię: na grobli, wstrzymującej powódź, podnosi stawidła i w ten sposób topi jadącego Olelkowicza (narzeczony Ireny) i jakąś dziewczyninkę wiejską Sońkę, która „jasnym sierpem żęła na brzegu rzeki tatarak". Wyznaje to matce. Rudomska, wspaniały typ despotycznej kresowej niewiasty, w rodzaju Kniahi-

ni Bułuhy-Kurcewiczowej z „Ogniem i Mieczem“, przeklina zbrodniczego syna straszliwem przekleństwem: „Żeby ci ręce i nogi połamało, żeby ci usechł język“. Wyklętego bierze w swoje posiadanie Irena i uprowadza go z domu matki, mówiąc: „Teraz on mój... Pójdź ze mną, przeklęty!“

Tych dwojga widzimy w drugim akcie w ubogim pokoju domku, czy też zajazdu miasteczka na Polesiu. Wincenty pozostał dawnym marzycielem. Rozważa swą zbrodnię, zagryza się nią, śni o niej po nocach. A jednocześnie nie potrafi stworzyć dla swej towarzyszki odpowiednich warunków ziemskiego bytu. Nadto w tym stanie ducha musi iść do wojska, jako poborowy. Ona zaś, — w pierwszym akcie jaśnie panienka, z demonicznemi nawet przebłyskami charakteru, — coraz wyraźniej chyli się w objęcia przyjaciela Wincentego, wielce wymownego adwokata, prowincjonalnego uwodziciela, który przebiegle wmawia w nią, że ona jest klejnotem, godnym lepszej oprawy materjalnej na tym tu padole. W końcowej scenie aktu Wincenty zastaje go na kolanach przed Ireną, całującego ją po sukni. Traci więc wielką ułudę swego życia; owoc popełnionej zbrodni, — histerycznie wmawiane w siebie szczęście z Ireną, — obraca się w bolesne nic. Tę scenę poprzedza inna, niemniej Wincentego druzgocąca. Rozmawia on z Joachimem, młynarzem z Łuży i totumfackim dworu Rudomskich. Joachim opowiada mu o pokucie, jaką podjęła Rudomska, budując Olelkowiczowi mauzoleum, na który, własne krwawiąc ręce, dźwiga głazy najcięższe. Wspomina także o Sońce owej, co zginęła w powodzi, „żnąc kwiaty jasnym sierpem“. Słowa Joachima są proste, naiwne. Niechcąc mówi rzeczy, nawiązane do zatroskanych śmiertelnie myśli Wincentego i z chłopa—młynarza urasta, nabiera namaszczonej postawy jakiegoś biblijnego sędzi. Nie chce przyjąć pokarmu pod dachem Wincentego, skoro się dowiedział, że Wincenty jest „człowiekiem, bardzo szczęśliwym“.

Akt trzeci dzieje się w czasach niedawnych. Dworek w Łuży przeżywa chwile wtargnięcia pierwszej fali bolszewickiej. Widzimy Wincentego, na którym wypełniło się przekleństwo matki. Powrócił z legjonów bez nogi i nie włada ręką. Lecz z wojny przyniósł inną, piękną duszę. Z „mamusinego synka“, pozbawiony woli do wielkiego czynu, z niechcący występnego Gustawa, przerobiła go wojna na nowoczesnego Konrada, dając sposobność do solennej pokuty, która przetrąciła mu nogi i ręce i przewartościowała w nim fałszywe inteligenckie wartości.

Niezapomnianym żywym poematem dla widza jest djalog Wincentego z Heleną, niegdyś narzeczoną jego. Swoim zwyczajem Żeromski zapomina z ciągłości prawdy wewnętrznej stworzonego przez siebie człowieka i daje mu własną duszę, wypowiada się przezeń własnemi słowy, których postać powieściowa lub dramatyczna, logicznie rzeczy biorąc, nie mogłaby wypowiedzieć. Prawda typu ludzkiego załamuje się, natomiast porywa prawda najwyższej poezji, owej jedynej, że tak nazwę „żeromskiej“, która nie ma dziś równej sobie w literaturze.

Człowiek, odkupiony własnem kalectwem, zmiażdżony na ciele wojną, nową jakąś, czystą i mocną duszą wyrasta ponad otoczenie. Słowo każde waży się, jak motyl na jego ustach i spada jak dobry, biały, mądry kwiat. „Pokropisz mię hyzopem i będę czysty, obmyjesz mię i ponad śnieg bielszy się stanę“—mówi słowami psalmu Wincenty, młodzieniec zaślubiony nowemu życiu, zaręczony ze śmiercią odkupicielką. „Teraz zrównaliśmy się ze sobą, matko — powiada do Rudomskiej rozumiejąc, wiedząc, czując, że w życiu naszem istnieje ów wyższy, boski rachunek grzechu i pokuty, która *musi* się dopełnić, której kielich *trzeba* wychylić do kropli ostatniej. Na tem kończy się właściwa tragedja. Autor daje jej rozwiązanie wyraźne i proste, ginące w niedosięgalnych szczytach ducha, płynące ze źródeł odwiecznych, od których ludzkość chrześcijańska przenigdy odejść nie może bezkarnie.

Finał, w którym autor wprowadza na scenę bandę bolszewicką, byłby zbędnym rażącym przez swą aktualność, gdyby go nie dorobił Żeromski. Ostatnie parę scen nie dodają niczego ani do samej sztuki, ani też wogóle do tych prawd o Polsce, które Żeromski wypowiedział w swoim czasie w Walgierzu Udałym i Dumie o Hetmanie. Ze względu jednak na aktualność spełniają one niejako zadanie agitacyjne, uświadamiające, wobec tych widzów, dla których Polska zaczęła się w umyśle i sercu od listopada 1918 roku.

Powieściom Żeromskiego zarzuca się stale brak dobrej kompozycji. To nie przeszkadza, ze właśnie powieści Żeromskiego zajmują naczelne miejsce we współczesnem powieściopisarstwie naszem. Sztuce „Ponad Śnieg“ recenzenci teatralni zarzucili, że nie jest napisaną według jakiegoś, im tylko nieomylnie znanego kopyta scenicznego, czegoś nakształt drewnianych kopyt, według których szanujący się szewc szyje buty. Ale to nie przeszkadza, że „Ponad Śnieg“ poraz 110 święcił się na scenie „Reduty“, jak tylko może się święcić rzetelne, wielkie dzieło sztuki. Być może, iż „Ponad Śnieg“ ma swoje wady kompozycyjne, niema na tym padole ludzkich dzieł bez pochyby. Lecz sytuację ratuje rzeźbione a żywe słowo Żeromskiego, co raz zacinające po nerwach i uczuciach widza, jak ów jasny, drobno pozębiony sierp Sońki, żnącej kwiaty, zacinał po sercu Wincentego, rozpamiętującego swą zbrodnię.

Po „Charitas“, „Ponad Śnieg“ jest jeszcze jednym dowodem, iż Żeromski wstąpił na jakąś nową, wspanialszą drogę, zdawna przez siebie przeczutą i wytęsknioną. Za kilka lat da on nowe wartości dla tych, którzy słuchać, widzieć i czuć chcą i umieją.

„Ponad Śnieg“ można uważać za dzieło rehabilitujące autora za jego dawny grzech, wszczepiony do polskiej literatury — za ów cudownym językiem napisany poemat: „Aryman mści się“.

„Błogosławiony jest szatan i państwo jego rozkoszy noc! — wyrzekł niegdyś w zaciekłej, rozpaczliwej beznadziei ten sam Żeromski, który dziś powiada „Pokropisz mię hyzopem i ponad śnieg bielszy się stanę“. Dzisiejszy Żeromski, — określę go słowami Wincentego — teraz zrównał się nareszcie ze sobą, z tem, na co było go oddawna stać, gdy był jeszcze autorem utw. „Aryman mści się“ i „Dzieje Grzechu“, które są zarazem i wielkim autorskim grzechem tego wielkiego poety.

Eu-Ko-Ma.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1920 ROKU. ZESZYT IV.

ILUSTRACJA POLSKA

„PLACÓWKA"

(dawniej „WIEŚ i DWÓR") — DWUTYGODNIK

Dodatek aktualny.

Niepokojące objawy.

Wewnętrzny rozwój Polski przybiera obrót dość nieoczekiwany. Ostre walki i przeciwieństwa, tak niedawno grożące zatopieniem nawy państwowej, cichną nagle. Błogi stan wzajemnej ustępliwości ogarnia wszystkie klasy narodu. Rzeczpospolita, zda się, rozwiązała zagadnienie doskonałych rządów: każda warstwa ma pełną możność wywalczania swych celów i nie wchodzi w ostrą kolizję z inną.

Chłopi posiadają zupełną możność sprzedawania swych produktów po wysokiej cenie i, po za smutną koniecznością płacenia niewielkich podatków, doprawdy uskarżać się nie mają powodu. Kupiectwo nie uważa zapewne tych czasów za lata chude. Największy jednak podziw budzą stosunki pracy i kapitału.

Wszystkie żądania, stawiane przez robotników, zaspokoją pracodawcy ze skwapliwą uprzejmością. Zatargi likwiduje się w kilka godzin. Rząd nie chce być wyprzedzonym: z niefrasobliwą hojnością rozdaje olbrzymie sumy, udziela podwyżek, wypłaca odszkodowania.

To też z atmosfery społecznej znikło napięcie burzy i walki. Sejm obraduje w apatycznym spokoju. Ostrza piorunów, rzucanych z prasy socjalistycznej, stępiły się wielce. Stwierdzono wielki zanik wpływów bolszewickich na masy. Istotnie, dyktaturę proletarjatu uważać dziś mogą obotnicy za niepotrzebny zbytek, skoro ich wszystkie warunki ochoczo są spełniane, a sprawy aprowizacji po przewrocie pogorszyć się tylko mogą.

Nic przeto nie zakłóca w państwie wzajemnej harmonji.

Jakżeż łatwą jest sztuka rządzenia, myśli zapewne pan Skulski w ciszy swego gabinetu.

Wszystko to jest zbyt podejrzanem, zbyt nienormalnem, by nie budziło bolesnego niepokoju.

Tak, niewątpliwie różne odłamy narodu łączy wewnętrzna, ukryta, nieświadoma solidarność najbardziej niepożądana, najbardziej niebezpieczna, najbardziej zabójcza. Zrodziła się na gruncie przeobrażonego życia gospodarczego.

Po ruinie przemysłu, nie opiera się nasz system gospodarczy na produkcji, na rozmachu twórczego kapitalizmu, na szerokiej organizacji wielkiego handlu. Zapanował drobny przemysł, drobny handel, niezliczone pośrednictwo. Berło życia z rąk kapitalizmu przeszło w ręce lichwy handlowej, spekulacji. Ograniczona podaż towarów dodała im tylko bodźca. Lichwiarskie pośrednictwo stało się dziś osnową i kośćcem pacierzowym naszej gospodarki. Wszystko się odeń uzależnia, pozostaje w jego służbie lub żyje zeń.

Na bagnie tej spekulacji wyrasta solidarność wrogich dotychczas sobie grup, lecz łączność ta przypomina wzajemną zależność pasożytów lub bankrutów.

Jednocześnie przesyca ona i zaraża warstwy narodu swoistą psychozą. Przedewszystkiem budzi żądzę zysku. Łatwość zarobków nie opartych na wysilonej pracy rozpala namiętności.

Następnie wytrawia z psychiki ludzkiej bezcenne zalety na których się opiera twórczy rozmach nowoczesnej cywilizacji.

Rząd, częściowo przez lekkomyślną politykę, częściowo zmuszony potrzebami wojny, karmi obficie spekulację i lichwę, rzucając raz po raz na rynek nowe miljardy. Wzmagając drożyznę, podnieca jedynie spekulację. Miljony z niewysłowioną łatwością przewalają się z rąk do rąk. Na gruncie tym zamiast dawnych kapitanów przemysłu, istotnych wodzów twórczej pracy, wyrastają nowi władcy życia, królowie paska i giełdy.

Obywatele nie żyją już z wytwórczości, wysiłku, z pokonywującej opory pracy, lecz z pośrednictwa ze świadczonych usług lub na koszt państwa.

To przesunięcie się punktu ciężkości naszego życia, połączone z pochłanianiem przez wojnę nagromadzonych zasobów, jest niebywale groźnem.

Nie dlatego by groziło rewolucją. Nadejdzie przecież chwila, gdy ukończona wojna, otwarte granice stworzą warunki dla owocnej pracy. Zdemoralizowane, wyjałowione z elementów twórczych, zatrute jadem łatwego życia klasy miejskie mogą się już nie podnieść do poziomu wymaganego przez nowoczesne życie. Polska zostanie krajem chłopskim, ubogim. Będzie kolonją dla cywilizatorów z Zachodu.

Zanik ostrych walk społecznych w obecnych warunkach, nie jest przeto oznaką wzmagającego się zdrowia narodu, lecz objawem głębszego rozkładu, szybszego stoczenia się w przepaść trzymających się kurczowo jedna drugiej naszych warstw miejskich.

Dlatego zagadnienie ocalenia wartości dodatnich i twórczych społeczeństwa naszego, a zwłaszcza jego klas miejskich jest sprawą doniosłą i naglącą.

K.

Polska idzie.

Polska doszła do morza.

Puck!

W obecności Dostojnej Pani odbył się akt zaślubin polskiego generała z polskiem morzem, potem jeszcze odbyły się zaślubiny z morzem dwóch innych dygnitarzy, jednem słowem, wielożeństwo u brzegów wielkoportu puckiego (w polsce wszystko musi być *wielkie*).

Posiadająca aż tylu naraz małżonków panna młoda, czyli „*to* nasze morze", jest, jak widać, rodzaju nijakiego, i nijako jakoś robi się głębiej patrzącemu w owe głębiny morskie niepodległemu obywatelowi polskiego państwa i nijak nie może on dojrzeć owego wspaniałego dostępu do morza i poczuć szerokiego oddechu na świat boży.

I nic z tego że w czeluściach morskich spoczęło kilka złotych pierścieni, szczerą w swej hojności ręką oblubieńców oddanych łonu wybranej, miast skarbowi polskiemu,— ofiarna danina ta nie pogłębiła dna morskiego, nie zbudowała doków, nie dźwignęła portu.

Puck!

Polska doszła do morza!

A jednocześnie, witani z wdzięcznością w stołecznym syrenim grodzie, witani jako bracia dobrodzieje, przejechali mężowie z krainy Albionu, udając się nie do Pucka, bo Puck jest nasz, Puck jest polski, lecz do Gdańska, by stał się on jako Gibraltar na południu, strażnicą takąż na północy.

Lecz, o zgrozo! nie wziął tam nikt ślubu z głębokiemi Bałtyku wodami, które tam dojrzałe mając, zdecydowane i wyrobione już kształty, całują namiętnemi falami pierś mocarną wspaniałego portu...

To już, bynajmniej, nie rodzaj nijaki...

Nie dał się wziąć jednak na ślub czujny Anglik, woli żyć na wiarę i — bądźmy pewni że... dochowa wiary swej nowej kochance.

Gdańsk!

Anglik dojechał do Gdańska, witany z wdzięcznością po drodze...

. . . .

Ale, tak zważywszy naprawdę... poco nam właściwie potrzebny port na Bałtyku? Wszak mamy już port u nas w Warszawie przy ulicy Wiejskiej!

Znalazł tam wygodną przystań pracujący kmiotek (do 40 morgów gruntu), powyżej jednak tej normy każdy łatwo utonąć tam może, zaś do czterdziestomorgowy wyławia sobie wędką a raczej paskiem, pod opieką spienionych... fal przyziemnych namiętności ludzkich, skarb z mętnej coprawda wody, lecz za to wyssany, utoczony i odciągnięty z najczystszej, szlachetnej krwi Ojczyzny.

Mój Boże! jakiś ty poczciwy kmiotku ukochany! Jako dziecię jesteś niewinny i jako gołąb dobry, — bo gdy ono ssie mleko z piersi matczynej, ty, nie chcąc ani kropelki *drogiej* krwi Matki-Ojczyzny uronić, ssiesz z niej krew całym twym poczciwym pyskiem, — i z gołąbkiem porównać ciebie można, bo jako on zbierasz ziarnka i spokojnie sobie gruchasz wówczas, gdy twój brat z miasta z głodu umiera, boś pochował wszystko co na przyodziewek lub wyżywienie mogłoby mu się przydać.

Tak, idzie polska, otoczona „najlepszymi swymi synami", ale gdy jej wypadnie (bo ma dostęp do morza) płynąć—niewiadomo czy w takiem otoczeniu do portu, chociażby takiego, jak w Pucku, dopłynie?...

W. Z.

Wobec plebiscytu.

Z tłumioną wściekłością, z tajoną żądzą odwetu opuszczają Prusacy plebiscytowe ziemie. Dopiero teraz otwiera się dla nas możność poprowadzenia walki o duszę tamtejszego ludu. Wieści, idące z tych dzielnic, wołają o jednem, iż walka taka jest nieodzowną, naglącą i trudną zarazem. Niemcy, nim opuścili plebiscytowe okręgi uczynili wszystko, by ludność polską zteroryzować, by niezdecydowanych narodowo ku sobie pociągnąć, by słabych podkupić. Prócz bezpośredniego nacisku, podjęli oni podstępną agitację. W tysiącach odezw, broszur, książek, wciskanych w każdą dłoń był stały motyw: przemawiali do względów materjalnych. Wywodzili ludności polskiej na jaką narazi się ruinę gospodarczą, gdy rządne, bogate przemysłowe Niemcy porzuci dla Polski niszczonej przez nędzę, bezład, ruinę.

Niestety, życie polskie dostarczało im obfitych argumentów. Na dowód nieszczęść, jakie spaść mają na ludność tamtejszą wrazie przejścia pod panowanie polskie—wyolbrzymiali lub z perfidyjną zręcznością dobierali faktów z istotnych trudności, z jakiemi się boryka zmartwychwstająca Polska. Cóż mógł przeciwstawić lud polski tym apelom do egoizmu materjalnego, do osobistych korzyści? Tylko uczucie narodowe, instynktowne poczucie związku z Polską. Lecz słaba to podstawa, przeważająca niezawsze materjalne względy. Że tak jest, stwierdzają smutne wieści, iż niektóre odłamy ludności zbyt silnie związane gospodarczo z Niemcami, zbyt przywiązane do obecnego układu swego życia, wahają się, są niezdecydowane, dla nas niepewne. Rozdwojenie głosów polskich przy poważnych mniejszościach niemieckich może być w skutkach dla Polski tragiczne.

Wyczerpawszy wszystkie środki urzędowego nacisku i ucisku, Niemcy przystępują obecnie ze zdwojoną siłą, ze zwiększonemi zasobami do agitacji słowem i pismem. My dziś zyskujemy równouprawnienie z nimi. Winniśmy jednak pamiętać o niezwykłej trudności polskiej akcji. Argumentom wrogów o niedoli, o smutnych stronach życia naszego przeciwstawić jedynie możemy siłę Idei polskiej. Będziemy budzić uczucia, niecić iskry polskości. krzepić serca otuchą lepszej przyszłości pod wspólnym dachem. Ale nie wolno nam zadaniem tem obarczyć nielicznych, o gorących sercach, tamtejszych działaczy narodowych. Cała Polska wziąć musi udział w uświadamiającej agitacji. Ale cała Polska jeszcze raz wspomnieć winna o doniosłości odzyskania plebiscytowych ziem. Polska bez Ślązka, bez ziemi kwidzyń-

Z pobytu Naczelnika Państwa na froncie wołyńskim



Przegląd N. dywizji w Zwiahlu na Wołyniu.



Naczelnik Państwa, obok gener. Listowski na stacji w Sarnach.





Z FRONTU WOŁYŃSKIEGO



N. pułk piechoty w chwili wymarszu ze Zdołbunowa.



Miasteczko Smolewicze na Wołyniu, po zajęciu przez wojska polskie.



Mogiła 14-tu legjonistów przy trakcie do Borysowa.



Wysadzony most kolejowy na Berezynie pod Borysowem.

(1-sza fot. inż. Zborowskiego, 2, 3 i 4-ta — p. T. Ordży).

skiej, bez Mazurów i Warmji — to Polska bez przemysłu i węgla, bez zabezpieczonych brzegów Wisły, to kraj biedny, rolniczy, zdany na łaskę przemożnych sąsiadów. Niechaj ta myśl będzie podnietą do wytrwałej, planowej akcji, niech utrzymuje działalność naszą w trwałym i napiętym wysiłku. Dotychczas stosunek nasz do spraw blebiscytowych był uczuciowy jedynie, wybuchał i wygasał słomianym ogniem zapału. Krwawe powstanie ślązaków wzburzyło naszą uczuciowość, było powodem manifestacji, piorunujących mów i doraźnej, przypadkowej pomocy. Potem, przyszło zapomnienie, przyszły inne ciekawsze sprawy. I dziś możność walki o plebiscytowe ziemie przyjmujemy obojętnie. Opinja nasza jest zmienna, wrażliwa, niestała. Dziś zapala się do morza. Zaślubiny z Bałtykiem przysłaniają wszystkie sprawy, Sejmiki, rady miejskie hojnie składają na flotę ofiary. Zapomina się, iż okręt kosztuje dziś kilkadziesiąt miljonów. Za najhojniejsze ofiary nie nabędziemy kilku okrętów. Tymczasem sumy te uratowałyby może dla Polski plebiscytowe ziemie. Walka o nie wymaga znacznych środków. Nie dostarczy ich społeczeństwo, nie może dać rząd, krępowany względami międzynarodowemi. Jedynie ofiarność samorządowych ciał zaopatrzyć może plebiscytowe komitety.

Społeczeństwo zaś, przez dostarczenie ludzi, sił inteligenckich i politycznych, akcję plebiscytową wydatnie musi poprzeć.

Luźne kartki.

I.

Pokój. Wojnę się prowadzi w celu zawarcia pokoju. Nadchodzi chwila, gdy można już przystąpić do zebrania owoców z uprzednich zwycięstw i męskich wysiłków walczącego narodu. Dobrą i konieczną jest wówczas rzeczą zachowanie umiaru w wyzyskaniu przewagi nad wrogiem. Zachłanność i zaborczość obrażają podstawowe prawa życia. Bogowie prawdy i sprawiedliwości mszczą się.

Tak jest, należy czasem mówić o pokoju!

Ale wrzask, jaki podnoszą socjaliści, wrzask o pokój już od pierwszego dnia wojny, o pokój w każdej chwili i za każdą cenę — mierzi tylko i budzi pogardę. Czemże bowiem jest? Brakiem poczucia odpowiedzialności za losy narodu, tchórzliwym głosem instynktu, niby krzyk zbuntowanych niewolników, którzy obojętni na powody śmiertelnej walki swych panów, chcą jedynie uniknąć ofiar i razów.

To też słusznem jest, że kierujące klasy narodu, odpowiedzialne za przyszłość narodu, przechodzą nad czynionym hałasem do porządku.

II.

Przebrzmiałe hasła. Przeorane krwawemi pługami wojny życie społeczne zmieniło swe oblicze. Inne siły, inne prądy kłębią się i huczą, szukając dróg, dokąd potoczyć swe fale. Nastąpił zmierzch wielu starych prawd, rozbite tablice wielu dawnych wiar. Nowe życie woła o nowe hasła, o nową ideologję.

Wyczerpana, bezradna, znużona inteligencja polska pragnie jednak być mistrzynią i kierowniczką nowego życia. Wyciąga przeto z lamusu kultury stare rynsztunki ideowe, w jakich chadzała w dniach niewoli. To wydobędzie wersety z dzieł wielkiego poety, to wskrzeszoną ideę o posłannictwie Polski, to znów mesjanistyczną książeczkę. Z zaczerpniętych tam myśli chce wznosić tamy wezbranemu życiu. I z bolesnem zdumieniem spogląda, jak wzburzone fale unoszą z sobą jej romantyczny bagaż ideowy.

III.

Chłopskie Wesele. Prawda, wyleczyliśmy się wreszcie ze złudzeń, jakiemi nas o ludzie karmili piszący zawodowo grafomani. Już nie wierzymy w poczciwych kmiotków w białych sukmanach, naszych braci młodszych, o duszach prostych i naiwnych, nieodzownej ozdobie procesji religijnych i narodowych pochodów. Ale jeszcze jawi się nam lud, jak w Weselu Wyspiańskiego, niby szczerozłota, pierwotna, bezcenna ruda, niby gleba oczekująca ziarna. Ileż dostojeństwa, jakaż powaga Piastowa w tym ludzie! Czepiec wciąż pozostaje dla nas typem chłopa. Jest on tą potęgą, która miała wskrzesić Polskę, a dziś ją ma budować. Tak przemalowując i ubierając lud stosownie do swych złudzeń, inteligencja nasza wybierała się oddawna, by czekającą nań potęgę chłopską otoczyć swą opieką, pouczyć, ku wysokim celom poprowadzić. Między lud, praca dla ludu — oto komunały, jakiemi dziś jeszcze usiłują nas karmić. Tymczasem inteligencja pozostała w domu. Natomiast do ludu wybrali się inni.

Niedawne głośne chłopskie wesele niechaj pouczy nas wreszcie o ludzie rzeczywistym, nie z bajki, nie z Wyspiańskiego, nie konwencjonalnym, nie przemalowanym.

Gospodarz i poseł Witos wydawał córkę za gospodarza z sąsiedniej wsi. Do gościnnego domu zjechali ministrowie i wice-ministrowie Rzeczypospolitej, posłowie ludowi z rządowych ław, byłe i obecne ekselencje oraz szereg gości z kół rządzących dziś państwem.

Jakaż sielanka demokratyczna! Niechaj się cieszą sentymentalne dusze!

Skokiem jednym przenieśliśmy się do ideału republiki ludowej. Oto gospodarz, piast-rolnik odkłada pług, by zasiąść na ławie poselskiej lub w fotelu ministra. Zaś wypełniwszy godnie i dostojnie obowiązek obywatelski, niby Cyncinat drugi, do pługa wraca. Lud panuje i rządzi.

Tak lud panuje. Powiedzieli mu o tem rychło ci, którzy zamiast mazgajowatej, marzycielskiej, niedołężnej inteligencji pośpieszyli do ludu. Pokątni adwokaci, byli nauczyciele ludowi, naganiacze wyborczy, cała półinteligencja wykolejona i bez pracy, sprytni pyskacze o twardych pięściach i giętkich zasadach, objęli szybko w pacht politykę ludową. Z komunałów ideologji ludowej poczęli wtłaczać w mózgi chłopskie jedno: lud jest potęgą, jedynie powołaną do panowania. Pod jednym atoli warunkiem: by im, adwokatom ludu, powierzono rządy.

Ci rycerze demagogji zbierają dziś owoce swych trudów. Stanęli wreszcie u steru rządów. Urządzają sobie oto zloty i przeglądy na weselach chłopskich. Polityka ludowa stanowczo się opłaca! Choć pilnowani bacznie przez Witosów, by nie działali wbrew ciasnym chłopskim interesom, by traktowali państwo, jako folwark. chłopski, posiadają jednak całkowitą swobodę rządzenia.

Odznaczają się przedewszystkiem zaciekłym głodem władzy: zabierają w swe ręce wszelkie wybitne stanowiska. Do rządów wnoszą arogancję, nieuctwo, demagogję, zmuszając państwo do rozrzutności, do schlebiania instynktowi mas. Są stokrotnie gorszą plagą, niż będące klęską dla ludów Zachodu rządy parlamentarnych wodzirejów, odznaczających się jednak pewną kulturą i poczuciem potrzeb państwowych. Przeciwko inwazji tych naszych adwokatów ludu zdaje się niema ratunku. Wszak żyjemy w tak demokratycznych czasach!

Kalendarzyk wojenny

24 stycznia. Wojska łotewskie w ataku na Rzeżycę wzięły 1000 jeńców i znaczną zdobycz wojenną. Na południe od Połocka nasz oddział wywiadowczy rozbił znaczniejszy oddział bolszewicki. Polskie wojska weszły do Grudziądza.

25 stycznia. Mały nasz oddział zaskoczył bolszewików we wsi Remczy (Polesie), zdobywając 3 armaty z zaprzęgiem, 3 karabiny maszynowe, wiele amunicji.

26 stycznia. Wojska nasze i łotewskie, łamiąc rozpaczliwy opór nieprzyjaciela, posuwają się naprzód. Miejscowe ataki bolszewickie na południe od Połocka odparto. Uprzedzając koncentrację bolszewicką oddziały wielkopolskie dokonały śmiałego wypadu na wschód od Bobrujska.

27 stycznia. Na północ od Dźwiny pościg za cofającym się nieprzyjacielem. Oddział nasz dokonał wypadu na wschód od Dryssy i rozbił oddziały bolszewickie na linji kolejowej Dryssa — Połoch. Celem uprzedzenia koncentracji bolszewików oddziały nasze przeprawiły się na wschodni brzeg Berezyny i rozbiły w rejonie Kliczewa znaczne siły bolszewickie, biorąc do niewoli sztab brygady, 11 oficerów i większą ilość szeregowców.

28 stycznia. Odparto ataki bolszewickie pod Dzisną. Udatny nasz wypad pod Połockiem. Pod Białokorewiczami na Wołyniu nasz wywiad rozbił kompletnie pod tą wsią szwadron kawalerji bolszewickiej.

29 stycznia. Na odcinku poleskim bolszewicy zaatakowali przeważającemi siłami przyczółek mostowy na Ptyczy. Po nadejściu rezerw oddziały nasze przeszły do kontrataku, rozbiły bolszewików i w pościgu posunęły się do wsi Terebowa.

30 stycznia. Odparto kontrataki bolszewickie w rejonie jeziora Osweja, zadając przeciwnikowi ciężkie straty. Nasz oddział wywiadowczy rozbił na zachód od jeziora Czerświaty bandę partyzancką bolszewików.

31 stycznia. Na północ od Dźwiny oddziały wojsk gen. Rydza-Śmigłego ciągłemi wypadami nie pozwalają przeciwnikowi przeprowadzić koncentracji przed naszym frontem. Pozatem działalność wywiadowcza.

1 lutego. Na północ od Dźwiny wojska nasze i łotewskie posuwają się naprzód. Na odcinku poleskim nasz oddział wywiadowczy rozbił bolszewików na wschód od Kapatkowicz.

2 lutego. Na odcinku poleskim oddziały mające za zadanie rozbicie koncentrujących się bolszewików i przerwanie kolejowe Owrzucz — Mozyr dokonały wypadu, rozbijając kilka baonów nieprzyjacielskich, niszcząc most na rzece Sławecznie i biorąc 340 jeńców i 12 karabinów maszynowych.

3 lutego. Na odcinku poleskim nasz oddział wywiadowczy zniósł kompanję narciarzy bolszewickich. W walkach wypadowych na froncie wołyńskim zdobyliśmy dwa działa, 8 jaszczyków i karabin maszynowy.

4 lutego. Na północ od Dźwiny osiągnięto linję rzeki Siniuchy. Na froncie wołyńskim nasz oddział kombinowany pod dowództwem pułk. Waraksewicza dokonał głębokiego wywiadu na tyły przeciwnika. Akcja ta wywołała panikę w sztabach bolszewickich, które w pośpiechu zaczęły ewakuować się na wschód.

5 lutego. Wypad nasz na wieś Łatyszenki dał w wyniku 150 jeńców.

6 lutego. Oddziały grupy jen. Lasockiego śmiałym wypadem na wschód od Lepla rozbiły stojący tam pułk bolszewicki, biorąc stukilkudziesięciu jeńców.

7 lutego. W nocy z 5 na 6 b. m. oddziały grupy gen. Lasockiego dokonały śmiałego wypadu na północ od Dzisny. Wzięto 200 jeńców, szefa sztabu brygady i duże zapasy.

8 lutego. Oddziały grupy gen. Śmigłego posunęły się na wschód od rzeki Sarjanki.

9 lutego. Wypady nasze w rejonie Połocka, na południe od Bobrujska i wschód od Skrygołowa. Nasz oddział wywiadowczy rozbił i zmusił do ucieczki cały pułk bolszewicki na wschód od Nowogrodu Wołyńskiego.

10 lutego. Oddziały nasze odparły atak bolszewicki w rejonie Homla.

11 lutego. Miejscowe ataki bolszewickie w rejonie Dzisny i Lepla odparto, zadając przeciwnikowi ciężkie straty. Oddziały nasze rozbiły pod Piławą batal. bolszewicki i wzięły jeńców.

12 lutego. Celem uprzedzenia meldowanej przez nasze wywiady koncentracji bolszewickiej w rejonie Owrucza, oddziały grupy poleskiej dokonały śmiałego wypadu, rozbijając pod Owruczem 2 pułki bolszewickie. Oddziały te zajęły przejściowo miasto i stację Owrucz, niszcząc urządzenia stacyjne.

13 lutego. Ożywiona akcja wywiadowcza na wschód od Karpowicz.

Warunki prenumeraty wraz z przesyłką:

W stolicy i w kraju: Rocznie **Mk. 140.—** półrocznie **Mk. 70.—** kwartalnie **Mk. 35.—**
Za granicą: . . . . . . „ . „ **160.—** . . „ . . . „ **80.—** . . „ . . . „ **40.—**

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE „PLACÓWKA"

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „P.": **Walenty Zieliński.**

Współredaktor: Gustaw Olechowski.

Drukarnia Rotacyjna „Kurjera Porannego", Marszałkowska 148.